

Kenzaburō Ōe

# Zapiski z Hiroszimy

przełożył Dariusz Latoś



Państwowy  
Instytut  
Wydawniczy

Prolog  
DO HIROSZIMY



Błysk... Huk... Z centrum ku obrzeżom, w szalonym pędzie,  
pierwsze pobiegły krowy.

To być może niewłaściwie rozpoczynać książkę tego rodzaju od spraw prywatnych. Zarówno jednak dla mnie, jak i dla redaktora Ryōsuke Yasuego, z którym od początku do końca wspólnie zbieraliśmy do niej materiały, wszystkie zgromadzone tu eseje hiroszimskie mają głęboko osobiste znaczenie. Dlatego też pragnę na wstępie poświęcić nieco miejsca prywatnym okolicznościom, w jakich pierwszy raz udaliśmy się razem do Hiroszimy latem 1963 roku. Podczas gdy mój pierworodny syn leżał wtedy w szklanym pudełku inkubatora, na skraju śmierci i bez żadnych nadziei na wyzdrowienie, Yasue dopiero co stracił swoją pierworodną córkę. Na dodatek w Paryżu powiesił się nasz wspólny przyjaciel, nie mogąc znieść wizji, wokół której obracało się jego codzienne życie, wizji ostatejniej w dziejach świata wojny, tej przeprowadzonej przy użyciu broni atomowej. Byliśmy obaj zupełnie zdruzgotani, ale mimo wszystko w samym środku lata wyjechaliśmy do Hiroszimy. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się zaczynać podróży w takim wyczerpaniu, w atmosferze wypełnionej tyłoma chwilami naznaczonego przygnębieniem milczenia.

Czas, który po dotarciu do celu spędziliśmy na kilkudniowej Dziewiątej Światowej Konferencji przeciw Bombom Atomowym i Wodorowym, wyczerpał nas jeszcze bardziej i pogłębił nasze przygnębienie. Było to, jak piszę w rozdziale pierwszym, wydarzenie pełne wyczuwalnie gorzkich trudności. Samo otwarcie konferencji stało pod znakiem zapytania, a gdy już udało się ją rozpocząć, to w formie naznaczonej wewnętrznymi podziałami. My natomiast, samotni, w posępnych nastrojach, pokryci potem i kurzem, jedynie biegaliśmy na darmo wokół wielkiego stada niezwykle poważnych osób

zagonionych na owo wydarzenie, na przemian wzdychając i milknąc na długie minuty.

A jednak tydzień później, gdy wyjeżdżaliśmy z Hiroszimy, obaj wyraźnie czuliśmy pod palcami punkt zaczepienia niezbędny, by zacząć wydrapywać się ku realnej poprawie z dna przygnębienia, na które opadliśmy. Znalazienie tego punktu zawdzięczaliśmy wyłącznie i absolutnie bezpośrednio spotkaniu z osobami obdarzonymi szczególnymi cechami ludzi prawdziwie hiroszimskich.

Ich styl życia i sposób myślenia zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Nabrałem dzięki nim odwagi, a zarazem poczułem ból wyrywania nasion pewnego rodzaju nerwowego zaburzenia, które wędrowały coraz głębiej ze względu na mój nierozzerwalny związek z synem leżącym w inkubatorze; ból wyrywania korzeni degeneracji. Zapałałem wtedy chęcią, by użyć Hiroszimy i tych na wskroś hiroszimskich osób jako pilnika i sprawdzić nim twardość swojego wnętrza. Byłem człowiekiem o krótkiej historii: ukończyłem edukację średniego stopnia w okresie powojennej demokracji, na uniwersytecie uczyłem się francuskiego i literatury, przede wszystkim współczesnej literatury francuskiej, a jako pisarz, który dopiero co zaczął karierę, tworzyłem w cieniu powojennych literatur Japonii oraz Stanów Zjednoczonych. Zapragnąłem potraktować z osobna owym hiroszimskim pilnikiem swoją wrażliwość, moralność i myślenie – które powinny być przecież moje własne, osobne – i poddać je rewizji, patrząc przez hiroszimską soczewkę.

Jeździłem do Hiroszimy jeszcze wiele razy, a moje eseje ukazywały się potem w piśmie „Sekai”, dla którego pracował Yasue. Niniejszy tom zawiera wszystkie teksty opublikowane w tamtej serii. Przy każdych kolejnych

odwiedzinach było mi dane poznać nowe prawdziwe hiroszimskie osoby. Spotkania te wywarły na mnie piorunujące wrażenie. Zarazem jednak przy każdej bez wyjątku podróży musiałem także odbierać wieści o śmierci takich osób. Gdy moje eseje zaczęły ukazywać się w prasie, szczególnie z Hiroszimy otrzymywałem wiele poruszających listów. Chciałbym przywołać w tym miejscu fragment jednego z nich, reprezentatywnego dla całej reszty. W rozdziale piątym, gdzie przytaczam wspomnienia o nieugiętych lekarzach z Hiroszimy, jest mowa o Yoshimune Matsuzace, który z pełnym opanowaniem udzielał pomocy innym ofiarom, choć sam został ranny i musiał być niesiony na plecach przez swojego syna, ówczesnie studenta medycyny – autor cytowanego listu to właśnie jego syn, Yoshitaka Matsuzaka, który bezpośrednio po wybuchu dzwigał ojca na swoich barkach do punktu pierwszej pomocy. Obecnie prowadzi praktykę dermatologiczną w Hiroszynie.

Mieszkańcy Hiroszimy wolą milczeć aż do chwili, gdy staną u progu śmierci. Pragną, by ich życie i jego koniec pozostały ich własnością. Nie chcą wyjawiać swoich tragedii w raportach tworzonych na potrzeby sporów politycznych, takich jak ruch przeciwko bombom atomowym i wodorowym, nie chcą, by ludzie mieli hibakusha<sup>2</sup> za żebraków. Oczywiście zwracanie uwagi na cierpienie ofiar, by zdobyć pomoc finansową, jest dla nich istotniejsze niż robienie tego w kontekście ruchu pokojowego, tej pomocy potrzeba bowiem o wiele, wiele więcej, ale hibakusha, którzy odzyskali już zdrowie i wrócili do normalnego życia, wolą zachować milczenie, wolą zwracać pieniądze z kartek

noworocznych<sup>3</sup> i z ulg podatkowych. Bo jakich realnych efektów można się spodziewać po samych zbiorach, samym żebractwie? [...] Najróżniejsi myśliciele, pisarze – niemal wszyscy mówili, że należy zabierać głos, nakłaniali hibakusha do wyznań. Nie umieli zrozumieć uczuć, z których wynikało nasze milczenie, i nienawidziłem ich za to. My nie jesteśmy w stanie celebrować szóstego sierpnia. Możemy jedynie spędzić ten dzień w ciszy, razem z umarłymi. Nie potrafimy brać udziału w krzątaniu przygotowań do pompacyjnych obchodów kolejnej rocznicy. Nic dziwnego, że intelektualiści, dla których Hiroszima to tylko jeden dzień, szósty sierpnia, nie rozumieją hibakusha, którzy milczą bądź zostawiają jedynie lakoniczne świadectwa.

List ten, napisany w wyrazie aprobaty dla mojego eseju o jedynych ludziach, którzy mają prawo milczeć na temat Hiroszimy, podniósł mnie wprawdzie na duchu, ale nie mogę nie zwrócić uwagi, że był równocześnie bitem najostrzejszej krytyki wymierzonej we wszystkie publikacje mojego, człowieka spoza Hiroszimy, autorstwa.

Przytaczam poniżej fragment tekstu, który pan Matsuzaka opublikował w najnowszym numerze pisma „Haguruma” pod pseudonimem Shishio Fukada – ukazuje tam w bardziej bezpośredni sposób wrażliwość i sposób myślenia obecne w skierowanym do mnie liście, a ja dostrzegam tam z kolei głos sprawiedliwej krytyki skierowanej przez osobę z Hiroszimy do ludzi spoza niej. Jest to, można by rzec, akt obrony koniecznej młodego hiroszimskiego intelektualisty. Chciałbym, aby moje eseje czytano razem z poniższymi zdaniami.

Wspominany przez Ōego lekarz, który ucierpiał podczas ataku na Hiroszimę – ów lekarz, który na widok skutków wybuchu bomby mógł jedynie popaść w rozpacz i, podobnie, nie miał innego wyboru w obliczu własnego przeznaczenia – co jakiś czas powtarzał ten sam cykl: najpierw optymistycznie stwierdzał, że syndrom atomowy został pokonany, a niedługo później musiał dokonywać gorzkiej korekty swojej diagnozy. Ja jednak, choć znajdowałem się półtora kilometra od strefy zero, doznałem jedynie lekkich powikłań, a obecnie jestem zdrowy. Moi rodzice oraz żona, ówczesnie uczennica drugiej klasy szkoły dla dziewcząt, która także ucierpiała w wybuchu, jak również trójka moich dzieci urodzonych w czwartej dekadzie ery Shōwa<sup>4</sup>, bez wyjątku są zdrowi, dlatego staram się w miarę możliwości zachowywać optymizm. Zapewne z tego względu od dawna towarzyszy mi wątpliwość: czy dla tak zwanej literatury bomby atomowej, którą wypełniają historie nieszczęsnych, nieuleczalnie chorych ludzi, opisy objawów chorobowych i portrety psychologiczne, nie istnieje inna formuła? Czy nie ma na przykład opowieści o rodzinie, której członkowie przeżyli wybuch, doświadczyli zwyczajnej dozy nieszczęścia, ale odzyskali zdrowie i zdołali wrócić do normalnego życia? Czy wszyscy hibakusha muszą umrzeć tragiczną śmiercią od powikłań po bombie atomowej? Zastanawiałem się, czy u kresu życia nie wolno im umrzeć jak zwyczajni ludzie, naturalną śmiercią, uporawszy się ze zdrowotnymi i psychologicznymi brzemionami, o których wspominałem powyżej, pokonawszy kompleks niższości? Kiedy umieramy, to potworną śmiercią, którą zesłała bomba, przeklętą śmiercią, która idealnie

pasuje na materiał dla ruchu na rzecz zakazu broni jądrowej – czyżby inna perspektywa nie była w ogóle do pomyślenia? Owszem, jesteśmy ofiarami bomby, przetrąciło nam to życie i przyniosło wiele cierpienia, nie przeczę, ale wywyższanie nas umniejsza chyba los innych ludzi, którzy może i nie doświadczyli wybuchu atomowego, lecz także przeszli wojnę – pomińmy już skalę doświadczeń. Sam siebie przestrzegałem, że nie wolno mi popaść w szczególnie charakterystyczną dla Hiroszimy mentalność hibakusha, to znaczy uważać specjalnego traktowania za coś oczywistego. Pojawiło się we mnie pragnienie, by samodzielnie zająć się kuracją, by odrodzić się jako człowiek, i choć ucierpiałem w ataku nuklearnym, zdobyć na własność śmierć niebędącą jego następstwem, taką samą jak śmierć ludzi, którzy go nie doświadczyli.

Moja babcia zmarła w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat, dziewiętnaście lat po bombardowaniu Hiroszimy. Jej życie odmieniło się w sposób, którego nie sposób nazwać szczęśliwym, do końca jednak zachowała zdrowie i odeszła z przyczyn naturalnych, niemających raczej związku z wybuchem. Chciałbym, żebyście zastanowili się państwo nad tym faktem: takich hibakusha, którzy umierają ze starości, wymykając się następstwom ataku atomowego, też jest niemało. Proszę nie myśleć, że śmierć hibakusha to tylko materiał na poparcie politycznych tez obcych ludzi, dokładnie tak jak szóstemu sierpnia w Hiroszynie, huczącemu od politycznych wystąpień, grozi przejęcie przez ludzi z zewnątrz, choć powinien być dniem cichej żałoby. [...] Proszę pamiętać, że istnieją też hibakusha pełni optymizmu, którzy nie cierpią przez powikłania i nie